

## ŻYTKOW BORYS

### MANGUSTA

#### MANGUSTA \*

Bardzo pragnąłem mieć prawdziwą, żywą mangustę. Moją własną. Więc postanowiłem kupić ją za każdą cenę, gdy tylko statek nasz przybędzie do wyspy Cejlon.

Po zawinięciu do portu chciałem czym prędzej wybiec na brzeg, by

- *Zwierzątko podobne do tchórza, lecz większe od niego.*

dowiedzieć się, gdzie sprzedają te zwierzątka. Ale właśnie wszedł na nasz statek jakiś czarnoskóry człowiek (tamtejsi ludzie są wszyscy czarni). Koledzy obściskali go tłocząc się, śmiejąc i hałasując. Wtem ktoś krzyknął:

— Mangusty!

Skoczyłem natychmiast, roztrąciłem wszystkich i zobaczyłem czarnego człowieka, który trzymał w ręku klatkę z szarymi zwierzątkami. Tak bardzo obawiałem się, żeby ktoś mnie nie ubiegł, że krzyknąłem czarnemu człowiekowi prosto w twarz:

— Ile?!

Czarny przestraszył się w pierwszej

chwili. Potem zrozumiał, o co mi chodzi, pokazał trzy palce i wetknął mi klatkę w rękę. Miało to znaczyć, że cały ten kram kosztuje tylko trzy ruble, razem z klatką, w której były aż dwie mangusty! Zapłaciłem mu natychmiast i odetchnąłem z ulgą; z radości aż mi dech zaparło.

Tak się ucieszyłem, że zapomniałem zapytać czarnoskórego człowieka, co jedzą i czy są dzikie, czy oswojone. A może gryzą? Zerwałem się z miejsca, chcąc go dogonić, ale ślad już po nim zagaśniał. Postanowiłem więc przekonać się sam, czy mangusty gryzą, i wsunąłem palec między pręty klatki. Nie, nie zdążyłem

go jeszcze wsunąć, a już ujęły go maleńkie, chwyтлиwe łapki, a ostre ząbki zaczęły gryźć pośpiesznie.

Nie sprawiało mi to bólu, bo man-gusta bawiła się tak ze mną. Druga zaś wcisnęła się w kąt klatki i spoglądała z ukosa swymi błyszczącymi czarnymi oczkami. Chciałem jak najprędzej wziąć na rękę tę mangustę, która tak gryzła na żarty. Zaledwie jednak uchyliłem drzwi klatki, mangusta hyc! wymknęła się i zaczęła biegać po kajucie. Zbytkowała, skakała po podłodze, obwąchiwała wszystko i krakała: — kra, kra! — zupełnie jak wrona.

Chciałem ją złapać, schyliłem się, wyciągnąłem rękę, gdy nagle mangu-sta, przemknąwszy koło mojej dłoni, znalazła się w rękawie. Podniosłem rękę do góry, a ona już w zanadrzu; wystawiła łebek z zanadrza, zakrakała wesoło i znów się schowała. Następnie uczułem ją pod pachą, przeszła do drugiego rękawa. I znów znalazła się na wolności. Chciałem ją pogłaskać, ale ledwo podniosłem rękę, gdy podskoczyła do góry od razu na wszystkich łapkach, jak gdyby pod każdą z nich miała sprężynę.

Przestraszyłem się tego jej skoku jak wystrzału i szybko cofnąłem rękę.

Mangusta zaś spojrzała na mnie, z dołu wesołymi ślepkami i zakrakała z uciechy. Potem wdrapała mi się na kolana i pokazywała swoje sztuczki: to zwinęła się, to wyprostowała, wygięła ogon jak fajkę, to znów wsunęła główkę między tylne nogi. Tak ładnie i tak wesoło bawiła się ze mną, że niechętnie wyszedłem z kajuty, gdy zapukano i wezwano mnie do pracy.

Trzeba było załadować na pokład piętnaście ogromnych pni jakichś indyjskich drzew. Były to grube, powykrzywiane pnie z obłamanymi gałęziami, pokryte korą, pełne dziupli, wzięte

wprost z lasu. Z odpiłowanych końców widać było, jakie to drzewo jest piękne w środku: różowe, czerwone i zupełnie czarne.

Układaliśmy je na pokładzie i mocno okręcali łańcuchami, żeby fale nie zniosły pni ze statku. Pracując, wciąż myślałem: co tam porabiają moje man-gusty? Przecież nie zostawiłem im nic do jedzenia! Pytałem czarnych robotników, przybyłych z wybrzeża do pomocy przy ładowaniu, czy nie wiedzą, czym karmi się mangusty, ale oni uśmiechali się tylko, nie rozumiejąc moich słów. Nasi zaś chłopcy mówili:

— Daj im, co masz; one same sobie wybiorą, co zechcą.

Wyprosiłem u kucharza trochę mięsa, nakupiłem bananów, przyniosłem chleba i nalałem mleka na miseczkę. Postawiłem to wszystko na środku kajuty i otworzyłem klatkę. Sam wszedłem do koi i zacząłem obserwować. Dzika mangusta wyskoczyła z klatki i razem z oswojoną rzuciły się najpierw na mięso; szarpały je gębami, krakały. Następnie warcząc chleptały mleko. Potem oswojona chwyciła banan i umknęła z nim w kąt. Dzika mangusta pomknęła za nią. Zeskoczyłem z koi, chcąc widzieć, co się działo, ale było za późno, bo biegly już z powrotem, oblizując pyszczki, a z banana pozostały na podłodze tylko poszarpane strzępy skórki.

Rankiem wypłynęliśmy znów na morze. Całą swoją kajutę obwiesiłem girlandami bananów, które bujały na sznurkach pod samym sufitem. „Będę je dawał mangustom po trochu, by na długo starczyło” — myślałem.

Pewnego razu wypuściłem z klatki oswojoną mangustę, sam zaś położyłem się z półprzymkniętymi oczyma. Zwierzątko zaczęło po mnie biegać, potem skoczyło na półkę z książkami, stamtąd przedostało się na ramę okrągłego okrętowego okienka, które chwiało się wskutek kołysania parowca.

Mangusta chwyciła się mocniej i spojrzała na mnie z góry. Przyczałem się. Uspokojona odepchnęła się łapką od ściany, a gdy rama odchyliła się i znalazła na wysokości banana, raan-gusta poderwała się nagle, skoczyła i obiema łapkami schwyciła owoc.

Przez chwilę zawisała w powietrzu pod samym sufitem. Ale banan urwał się i mangusta grzotnęła o podłogę. Ależ nie! Grzotnął banan, a mangusta skoczyła zwinnie na wszystkie cztery łapki. Zerwałem się, by popatrzeć, ale ona już wpadła pod koję, skąd za chwilę wyszła z umorusanym pyszczkiem kracząc z zadowolenia.

Oho! Musiałem przewiesić banany na sam środek kajuty, bo mangusta próbowała wdrapywać się do nich po ręczniku. Łaziła jak małpka. Łapki miała chwytliwe, zwinne i zręczne. Wcale się mnie nie bała. Korzystając z pogody wypuściłem ją na pokład, żeby sobie pospacerowała w słońcu. Od razu wszystko dokładnie obwąchała, biegała po pokładzie statku tak, jak gdyby chowała się na nim od urodzenia i czuła się jak u siebie w domu.

Ale na statku był dawniejszy gospodarz pokładu. Nie, nie kapitan, lecz kot. Ogromny, utuczony, z miedzianą obrózką na szyi.

Z dostojną miną paradował po pokładzie, gdy było sucho. A tego dnia było właśnie sucho. Słońce stało wysoko, nad samym masztem, i kot wyszedł z kuchni, gdzie miał stałą rezydencję, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Gdy spostrzegł mangu-stę, podbiegł szybko, a potem zaczął się ostrożnie skradać. Szedł po żelaznej rurze leżącej na pokładzie, a koło tej właśnie rury swawoliła mangusta. Zdawało się, że nie widzi kota, który już był tuż nad nią. Wystarczyło mu tylko wyciągnąć łapę, żeby wczepić się pazurami w jej grzbiet. Czekał jedynie odpowiedniej chwili.

Spostrzegłem natychmiast, co się święci. Oto mangusta odwrócona tyłem do kota nie widzi go i obwąchuje pokład, jak gdyby nigdy nic. Puściłem się więc pędem, nie zdążyłem jednak dobiec. Kot wyciągnął łapę, ale w tej samej chwili mangusta wysunęła głowę spomiędzy tylnych łapek, rozwarła pyszczek, zakrakała głośno, a ogon, swój olbrzymi, puszysty ogon, postawiła w słup do góry. Tak, że wyglądał jak wysoki pióropusz.

W mgnieniu oka zmieniła się w niesamowitego, cudaczego potworka. Kot, przestraszony, odskoczył jak od rozpalonego żelaza. Bez namysłu zawrócił i, zadarłszy ogon do góry, umknął nie oglądając się, Mangusta zaś, jakby się nic nie stało, znowu figlowała po pokładzie. Od tej pory rzadko kiedy oglądaliśmy naszego kota. Kiedy mangusta była na pokładzie, kota nie można było nigdzie znaleźć, choćby się cały statek przeszukało.

Wołano „Maciuś” i „kici, kici”, kucharz przywabił go mięsem, ale kota jak nie było, tak nie było. W kuchni też gospodarzyły teraz mangusty; krakały domagając się mięsa. Biedny Maciuś wpadał tylko w nocy do kajuty kucharza, który go żywił. Jedynie wtedy, kiedy mangusty siedziały zamknięte w klatce, królował Maciek.

Pewnej nocy zbudził mnie ze snu krzyk na pokładzie. Było to wołanie przerażonych, wystraszonych ludzi. Szybko ubrałem się i wybiegłem na pokład. Palacz Teodor krzyczał, że idąc przed chwilą z wachty spostrzegł, jak ze stosu indyjskich drzew wypełzła żmija i znów się schowała. Nie była jaka żmija! Gruba jak ręka, a prawie na dwa sążnie długa — pełzała w jego stronę. Nikt Teodorowi nie wierzył, ale wszyscy trwożnie spoglądali na drzewa z Indii, myśląc niepewnie: „A może naprawdę żmija?”

Może nie taka gruba, jak ręka, ale może jadowita?”

Jak tu niebezpiecznie chodzić w nocy!

Ktoś powiedział:

— Żmije lubią ciepło, czasami włączą do kajut, gdzie są ludzie.

Zrobiło się cicho. Nagle wszyscy zwrócili się do mnie:

— Dawaj no tu te swoje zwierzaki. Raz, dwa!

Bąłem się, żeby mi w nocy nie uciekła dzika mangusta, ale nim zdążyłem zaproponować, już ktoś skoczył do mojej kajuty i przyniósł klatkę. Otworzyłem ją przy samym stosie, w miejscu gdzie kończyły się pnie i widać było czarne przejścia między kłodami.

Ktoś zapalił latarkę elektryczną. Widziałem, jak oswojona mangusta pierwsza dała nurka w czarny otwór, a za nią skoczyła dzika. Bąłem się, że ciężkie kłody przygniotą im łapki lub ogony, lecz już było za późno, obie mangusty wdarły się w głąb.

— Przynieście łom! — krzyknął ktoś. Teodor przybiegł z toporem. Potem wszyscy umilkli i nasłuchiwali, wtem ktoś zawołał:

— Patrzcie, patrzcie! Ogon! Teodor zamierzył się toporem, inni odstąpili na bok. Chwyciłem Teodora za rękę; z przestrachu omal nie rąbnął toporem po ogonie mangusty. Ogon wysuwał się i znów chował. Potem zobaczyliśmy, jak tylne łapki czepiają się drzewa.

Widocznie coś ciągnęło mangustę z powrotem.

— Pomóżcie jej, widzicie, że nie może dać sobie rady! — krzyknął Teodor.

Nikt jednakże nie pomagał, wszyscy cofnęli się. Nawet uzbrojony w topór Teodor. Nagle ukazała się mangusta. Widać było, jak się wywija i czepia drzewa. Szarpnęła wreszcie i wyciągnęła za sobą ogon żmii. Ogon zaczął się ciskać, podrzucił mangustę do góry i grzmotnął nią o pokład statku. Ale moja dzikuska w mgnieniu oka skoczyła znów na łapy.

Trzymała żmiję za ogon, wpijając się w niego ostrymi ząbkami. Żmija kurczyła się i ciągnęła mangustę w czarną szczelinę. Zwierzątko opierało się wszystkimi łapkami i wyciągało żmiję coraz więcej i więcej.

Żmija była gruba na dwa palce. Jak biczem tłukła o pokład ogonem, na którego końcu trzymała się mangusta. Chciałem' odrąbać ten ogon, ale Teodor z toporem gdzieś się zapodział. Wołaliśmy go, lecz jakoś się nie odzywał.

Wszyscy z trwożą oczekiwali, kiedy pokaże się łeb żmii, bo wtedy ujrzą już całego gada. Co to? To nie głowa żmii, lecz mangusty. A oto i oswojona mangusta wyskoczyła na pokład wpijając się w bok żmii. Gad wywijał się, miotał; raz po raz uderzał z łoskotem mangustami o pokład, ale one trzymały się go jak pijawki. Nagle ktoś krzyknął:

- Bić! — i uderzył łomem żmiję. Wszyscy rzucili się i młócili, czym kto mógł. Bałem się, że w tym zamieszaniu zabiją mi zwierzątka. Oderwałem od ogona żmii dziką mangustę. Była tak rozwścieczona, że ugryzła mnie w rękę, wyrwała się i drapała. Zerwałem czapkę z głowy i okręciłem jej pyszczek. Oswojoną zaś oderwał od żmii jeden z kolegów. Wsadziliśmy je do klatki. Krzyczały i miały się, chwytaly zębami za kraty. Rzuciłem im kawałek mięsa, ale nie zwróciły nawet na nie uwagi. Zgasilem światło w kajucie i poszedłem zajodynować pogryzione ręce.

Od tej pory wszyscy bardzo polubili moje mangusty i znosili im do jedzenia, co tylko kto miał.

Oswojona zaznajomiła się ze wszystkimi i wieczorami trudno było się jej dowołać. Wiecznie była u kogoś w gościnie.

Niezwykle zwinnie łaziła po masztach i linach okrętowych.

Pewnego razu pod wieczór, kiedy już zapalono światło elektryczne, wdrapała się na maszt po linach idących od burty. Wszyscy podziwiali jej zręczność i spoglądali na nią z zadartymi głowami. W pewnym miejscu lina łączyła się z masztem, a dalej było już tylko gołe, śliskie drzewo. Mangusta jednak rzuciła się całym ciałem i schwyciła za miedziane rurki biegnące w dół masztu, którymi przechodziły druty do lampy elektrycznej na górze. Mangusta szybko wdrapała się po nich jeszcze wyżej. Wszyscy na dole klasnęli w dłonie, gdy wtem elektrotechnik okrętowy krzyknął:

— Dalej są tylko nie izolowane przewody! — i pobiegł wyłączyć prąd. Nie zdążył. Mangusta schwyciła już łapkami za druty.

Poraził ją prąd elektryczny. Spadła z góry na dół. Podnieśliśmy ją, ale była już nieżywa.

Została mi tylko dzika. Wkrótce i ona oswoiła się, ale nie wypuszczałem jej już samej na pokład. Bardzo się do mnie przywiązała i przywiozłem ją ze sobą do domu.